

WŁADYSŁAW ORKAN

Jasna polana


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

WŁADYSŁAW ORKAN

PŁANETY

Jasna polana

Bór.

Ponury, cichy bór... Odwieczne jedle, smreki porosłe mchem, olbrzymie dęby, chmurosiężne, nieznane ludziom stare drzewa — w cichości wielkiej kołyszą się wolno. A po wierzchołkach wiatr śpiewa i gra — melodję wieczną, dziwnie smętną, o zaginionych dawno światach, o gwiazdach promienistych i zaklętych w lód...

Do boru tego, do dziewiczych lasów, przyszli wędrowcy z nieznannej krainy, niosąc na ramionach swych topory ciężkie, i jęli ścinać i obalać drzewa — przyszli bowiem na ziemię tę, aby ją posiąść i uczynić karmicielką swą po wieczne czasy.

Walał się z jękiem śmigłe sosny, padają z trzaskiem stare jedle, druzgocząc młode, bladolistne drzewka, które wiatr posiał. Huk piorunowy leci po gałęziach, gdy praodwieczne dęby giną — jęczy ponuro las...

A ludzie tną... dniem i nocą, bez przerwy, bez litości tną. Dziwna upartość w tych małych stworzeniach — zaciętość wielka... na życie i śmierć!

Widząc opór niezwykle skamieniałych drzew, zacinają się coraz bardziej. I serca ich stają się jako stal toporów, które na ostrzu mają śmierć.

A skoro już przecięli spory kawał lasu i stracili z oczu owo miejsce, skąd zaczęli ciąć, wnet gorączka żelazna ich rozgorzałych serc poczęła w nich rozniecać iskry drzemających pragnień, jakie powstają we śnie.

Zapomnieli o celu, w jakim tu stanęli, gdyż go zabiły inne, daleko potężniejsze, urodzone z rozmyślań w snach płomiennego serca i w snach bojem niezwykle wrzącego umysłu.

Uwierzyli w to bez trudu, że ziemię tę posiadli i że sama odtąd stanie się im karmicielką z wdzięczności prostej, iż ją uwolnili od ciężaru drzew, jaki przez wieki całe przygniatał jej piersi. Uwierzyli w to i poczęli mówić pomiędzy sobą:

— Szukajmy polany słonecznej, która daje szczęście spoczywającemu... Polana owa jest przed nami w lesie... Idźmy! szukajmy, a znajdziemy ją.

I poczęli sobie świadczyć wzajemnie, że wiedzą o niej od swych ojców, którzy byli ludźmi sprawiedliwymi, a Bóg sam rozpowiedział o niej szeroko praojcom i pradziadom ich, gdy ich posyłał na tę ziemię.

— Idźmy! a odnajdziemy.

Niektórzy jednak mieli serca nieufnością przepelnione doznaku. Ci poczęli radzić w ten sposób:

— Tnijmy ten las nieszczęsny, skorośmy zaczęli, a polana, jeśli jest, sama wyłoni się z niego... Ustaną nasze siły i pomrzemy — to dzieci nasze podejmą topory... Nie one zaś — to wnuki, albo prawnuki...

Ale większość była tych, którzy zapragnęli widzieć szczęście swojemi oczyma, i rada ich przemogła. Porzucili topory i poszli. Ostała jeno mała garstka.

Idących bojaźń owładnęła na samym progu do wieczności. Bo las ten wiecznością im się zdawał. Lecz nie ulękli się i poszli.

A idąc, pomagali sobie śpiewaniem i donośnymi okrzykami dawali znać o sobie towarzyszą. Uszli już niemalą przestrzeń, gdy noc zapadła. Ognisk nie rozpalali, bojąc się pożaru. A że gorączka ich trawiła, coraz to większa — więc nie chcieli spoczywać, póki nie znajdą. Wtedy spoczynek sam wyda im się szczęściem, gdyby się w wierze swojej oszukali. Dlatego szli i nocą, potykając się o gałęzie, ścięte przez burzę. Kierowali się gwiazdami

i na domysł szli. W dzień spotykali rzeczy różne, prawie im nieznanne. Nie zwracali jednak uwagi na nie, obawiając się straty czasu. Im dalej szli w ten ciemny, nieprzebyty bór — tem więcej w sercach budziło się pragnień, a wszystkie ku jednemu skierowane światu, ku tej polanie jasnej, a nieznannej, która im da wypoczynek i odetchnienie...

Lecz w tym żmudnym pochodzie malała ich wiara. Owa polana, do której wybiegały im serca z takim bezmiernym utęsknieniem, zdawała się cofać przed nimi. Im dłużej szli — tem dalej w myślach ją widzieli, a czasem znikającą prawie z przed ich myśli.

Nieznaną trwoga szeptała im bez przerwy słowa przejęte niepokojem, które chwiałały i podcinały wiarę w życie i w moc niepokonaną tego życia. Poczęli wątpić. Z wątpliwości i trwogi urodził się strach. Poczęły im majaczyć przeróżne widma, przesuające się gęstwinią ciemną poprzez ich drogę. Potworne kształty drzew stawały im przed oczyma, jako straszdyła, tamując pochód. Zwątpienie coraz większe osłabiało ich znużone siły. Czuli, że słabną.

Niektórzy już poczęli szemrać, mówiąc, że dalej nie pójdą — i miotali przekleństwa na tych, którzy ich wywiedli. Powróciliby z chęcią do pierwotnego życia i cichej beztroski, lecz zgubili drogę powrotu, bo nie czynili żadnych znaków na korze mijanych drzew.

Nie wiedzieli, jak długo idą — lecz, że do śmierci muszą iść — o tem już nie wątpili w sercach swoich, nękanym smutkiem i rozpaczą.

A oto czarne zbierają się chmury — słońce już zasłoniły — i stoją nad nimi, kłębiąc się zwolna. Żaden promień nie prześwieci przez konary i liście, nie padnie na ich twarze, obielone strachem. Coraz to ciemniej... Las cały drży — dygocą drzewa zalęknione — z oddali ciągnie burza — zagłada idzie piorunowa... Pierwsza błyskawica... daleka... podziemny huk...

Śmiertelna groza owładnęła nimi — stają w milczeniu, jako widma ludzkie — oto ujrzeni w świetle błyskawicy tuż pod stopami swojemi — urwisko... czarne, jak otchłań... bez dna!

W kraju pierwotnych siedzib, towarzysze ich opuszczeni pobudowali chaty z drzewa pięknie obrobionego, aby mieli dach nad głową swoją i miejsce ciche nocnego spoczynku.

W dzień słoneczny wychodzą z toporami do lasu i wspominając braci swych, obcinają grube konary powalonych jodeł i rąbią twarde smrekę w miętkości swoich serc.

W głębi stojące, szumią dęby stare, jako to bywało drzewiej — drzewiej, za ludzkiej niepamięci — a po wierzchołkach wiatr śpiewa i gra melodję wieczną, dziwnie smętną, o zaginionych dawno światach, o gwiazdach złotych, promienistych i zaklętych w lód...

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/planety-jasna-polana/>

Tekst opracowany na podstawie: Władysław Orkan, *Planety*, Biblioteka Domu Polskiego, Warszawa 1927.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: [Virginie Moerenhout@Flickr](mailto:Virginie.Moerenhout@Flickr), CC BY z.o

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przełącz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przełącz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.